

Translation excerpt of Liz Behmoaras, *Sevmenin zamani*, 2011

Translated by Julia Krajcarz

W piątek po ostatnich wykładach, gdy szła w kierunku bramy wyjściowej, spotkała się twarzą w twarz z İsmilem, który zmierzał w przeciwnym kierunku. Serce zaczęło jej bić jak szalone, ale starała się wyglądać na nieporuszoną. Pozdrowiła go skinieniem głowy i miała zamiar iść dalej, gdy uśmiechnięty młodzieniec stanął na jej drodze.

– Poczekaj, dokąd się tak spieszysz?

Ale nie czekał na odpowiedź, pokazał książkę, którą trzymał w ręce. Pożyczył od kolegi, powinien ją zwrócić i zaraz wróci.

– Poczekaj, nie ruszaj się stąd, dobrze? - I pospieszenie się oddalił.

Jak zawsze i we wszystkim to on przejął inicjatywę. Frida, w sprzecznych emocjach i myślach – znikaj na trzy dni, potem zjaw się przede mną, każ mi czekać i mów, żebym się nie ruszała stąd! Co on sobie wyobraża? Że jestem jego zabawką? Całe szczęście, że nareszcie się zeszliśmy, może zaproponuje, byśmy gdzieś poszli, nie odmówi, ale po co to wszystko, ile jeszcze będę czekać... – poczekała.

Gdy młody mężczyzna wrócił, delikatnie dotknął dłonią jej ramienia:

– Znajdziesz chwilę dla biedaka zawałonego robotą od wielu dni?

– Właściwie to niedużo. Muszę zdążyć na statek, który wypływa o siedemnastej trzydzieści z Karaköy, odpowiedziała Frida.

Ale İsmail nie miał wcale zamiaru odpuścić.

– Jeszcze jest wcześnie... Jeśli szybko pójdziesz, zdążysz. I jaka ładna pogoda! Chcesz, żebym ci potowarzyszył?

Frida zgodziła się. Bardzo życzyła sobie, żeby İsmail nie zauważył, jak szybko bije jej serce i jak bardzo przytłumionym głosem odpowiada.

Był piękny, wczesny wieczór. Wychodzili z głównego budynku na Beyazıt, przeszli przez pełne podlatujących gołębi Süleymaniye, potem na tyłach roztaczającego intensywnie wonie przypraw Bazaru Egipskiego, zeszli przez Mercan Yokuşu i pospieszenie ruszyli w stronę przystani Karaköy.

Wymieniali przez chwilę nic nie znaczące zdania, po czym İsmail zaproponował Fridzie, by następnego dnia poszli do kina.

- Niestety, to niemożliwe, odparła dziewczyna. – Zostanę na Moda aż do poniedziałku.
- Myślałem, że wcześniej może zjemy kofty albo kanapkę z parówką na Beyoğlu. Ale coś zrobić, wygląda na to, że na weekendzie ci nie pasuje, pójdziemy więc za tydzień, nalegał İsmail.
- Za tydzień to też niemożliwe. Ja w każdy piątek wieczorem wsiadam na statek na Kadıköy i spędzam koniec tygodnia z moją rodziną, która mieszka na Moda. Ojciec nie akceptuje jakichkolwiek wymówek w tym temacie.

Frida pożałowała, że dała tak stanowczą odmowę i dlatego natychmiast zaczęła dużo mówić. Do kina mogliby pójść któregoś wieczoru w tygodniu, ale nie może na mieście jeść mięsa, nawet w pensjonacie, gdzie mieszka, sama przygotowuje sobie posiłki i zabiera na uczelnię.

- Krótko mówiąc, my Żydzi, mamy bardzo surowe zasady żywienia... Nazywamy je koszer.

Przez chwilę milczała, popatrzyła na İsmaila z niepokojem, że może nie zrozumiał, o czym mówiła i pospieszenie kontynuowała:

- Wyjaśnię. U nas mięso i mleko...

İsmail przerwał jej:

- Coś o tym słyszałem. Dzieciństwo spędziłem w Izmirze, w dzielnicy żydowskiej, na İkiçeşmelik. Mieliśmy za sąsiadów twoich współwyznawców. Tego o mleku i mięsie nie znam, ale wiem, że tak jak muzułmanie nie jedli wieprzowiny i jeszcze czegoś też nie... W piątki wieczorem i w soboty nie rozpalali ognia, nie nagrzewali pieców. My, tureckie dzieciaki w dzielnicy, zapalaliśmy im za niewielką zapłatą w piecach i pod kuchnią, a nawet gdy nas nie przyzywali, wystawaliśmy pod drzwiami i krzyczeliśmy: „do rozpalenia ognia!”.

A potem wstrząsnął ramionami:

- To znaczy, że jesteś wierząca. Ja nie jestem. Ze względu na ojca dwa czy trzy razy w roku idę do meczetu, w ramazanie poszczę. I to wszystko...

Rozmawiali i szli dalej. Postanowili wybrać się do kina w któryś dzień tygodnia.

- Jeśli chcesz, to najpierw zjedzmy simita. Na to nie mam żadnego zakazu.